ROZMAITOŚCI.

Dnia 24 lipca, N^{er} 30. roku 1847.

Dramat sądowy w Algeryi.

Jeden z ostatnich numerów *»Gazette des Tribunaux«* udziela następującéj powieści z wyraźną uwagą, że wszystkie wymienione w niéj szczegóły są dosłownie prawdziwe, i na miejscu zebrane.

W piérwszych latach podbicia Algieru wylądował był młody Eugenijusz de B., uczeń szkoły w St. Cyr, na królewskiéj fregacie parowéj, u brzegów Mers-el-Kebir. Miał on z sobą starego sługę, i chciał czas urlopu, dozwolonego mu przez jenerała, który zarządzał szkołą w St. Cyr, spędzić po raz drugi w Afryce. Skłoniło go do téj podróży przedewszystkiém życzenie obaczenia się z starszym bratem, kapitanem w drugim eskadronie spahów; oraz jednak przyczyniły się do tego, wspomnienia łowów na dziki, w których na bagnach w Arrach raz uczestniczył, jakotež pamięć pięknéj Żydówki z Oranu, którą znał już oddawna, a teraz znowuž ją ujrzéć spodziéwał się. Żydówki bowiem i Maurytanki są w istocie jedynémi kobiétami w Algeryi, które z czystością i szlachetnością rysów łączą nadobność kształtów, i dość przyjaźnie zaloty francuzkich oficerów i osadników przyjmują. Co do właściwych Arabek, te, z rzadkiémi wyjątkami, są szpetne, niezgrabne, bez poezyi i tkliwości, i czyto już z fanatyzmu czy z instynktu, namiętnie Francuzów nienawidzą.

Kiedy Eugenijusz przybył, kapitan spahów B. znajdował się właśnie na wyprawie wojennéj, a pięknéj Żydówki nie było już w Oranie, lub zamieszkiwała jakieś odległe przedmieście. Dawne jéj mieszkanie zostało zburzone, aby plac Napoleona równiejszym stał się. W takich okolicznościach byłby się wychowanek z St. Cyr srodze nudził w Oranie, gdzie nié masz żadnych innych miejsc zabawy nad milczące kawiarnie maurytańskie i krzykliwe szynkownie europejskie; gdyby nie pozostała była jedna jeszcze rozrywka, to jest polowanie na kuropatwy i białe jastrzębie, gnieżdżące się w pełnych źwiérzyny górach, któremi Oran tak malowniczo jest otoczony.

Wojna wrzała podówczas w całéj swéj sile. Codziennie zdarzały się pojedyńcze morderstwa, a každy konwoj, idący do Bridiak albo Mazagranu, bywał niewątpliwie napadany i w pień wycięty, jeźli nie miał dostatecznéj wojskowéj eskorty. W wielu stronach francuzkiéj Algeryi czynili Arabowie okropną zdobycz z głów ludzkich. Pomimo taki stan rzeczy, młody Eugenijusz B, zaufany bystrości swego wzroku i obronie swojéj wybornéj dubeltówki, nie zważał na rozsądne przestrogi, jakie mu zewsząd dawano, aby przewodnika albo przynajmniéj swego starego sługę brał z sobą. Wychodził sam jeden co rano, i wracał dopiéro podwieczór z pełną torbą źwiérzyny, ubolewając žartobliwie, iž tylko z urojonymi zbójcami i bajecznémi morderstwami w Algeryi się spotykał. Wszakže jednego razu nie wrócił niebaczny śmiałek o zwykłym czasie do domu. Służący jego jął natychmiast w towarzystwie trzech afrykańskich szaserów czynić poszukiwanie w okolicy. Jakož znaleziono niebawem śród gór Raminsa, w pyle krédowym,

okrywającym powierzchnią ziemi w tych stronach, ślady kroków, które, sądząc po drobności stopy, mogły być tylko śladem młodego ucznia z St. Cyr. Trop ten, dający się najprzód na wierzchołku góry dostrzegać, zbiegał potém po jéj zachodnim stoku, a za nim, w krótkiéj odległości, widne były inne głębsze ślady, po których wybitniejszym zarysie, należało wnosić, iż je bosa noga wygniotła. Według zwyczajnych w takim razie pomiędzy krajowcami domysłów, znaczyło to Araba.

Miejsce, na którym stary sługa Eugenijusza z żołnierzami stanął, było o tyle niebezpieczniejszém urwiskiem, ile że otaczające je parowy i przepaście kryły się pod bujną gęstwiną powojowych krzewów i szérokolistnych kaktusów. Ogromna masa skał, podmulona zimowémi deszczami, i tylko jakby cudem na pochyłości gór w równowadze utrzymująca się, potrzebowała jedynie silniejszego burzą wstrząśnienia, aby tysiącem śmiertelnych pocisków w głąb się stoczyła. Ponura ta ustroń, zwykła kryjówka lisów i myszy faraońskich, zdaje się szczególnie do popełnienia zbrodni sposobną. I tu też szaserowie afrykańscy, wiedzeni doświadczeniem, nabytém w wojnie, w któréj się wszystkie wojskowe fortele hiszpańskich gerylasów i wszystkie podstępy wojen indyjskich powtarzają, wynaleźli trupa Eugenijusza, na wpół w zaroślach ukrytego.

Nieszczęśliwy młodzian był zupełnie rozebrany, z wyjątkiem jednego buta, który jużto z zapomnienia już z szyderstwa, zabójca ofierze swéj zostawił. Jasnych włosów zabitego nie było wcale widać, tak je czarna, skrzepła krew zalała i oropiła. Duża, rozwarta rana pod łopatką, naprowadzała na wniosek, że Eugenijusz znienacka był napadnięty. Ponieważ broń obosieczna, jaką zabójstwo popełniono, serce na wskróś przeszyła, więc musiał młodzian natychmiast zginąć. Prócz tego jednak pokaléczył mu zabójca z niesłychaném okrucieństwem twarz swoim kandżarem, i wszystkie prawie członki mu poranił.

Na ten widok stanął stary sługa jak osłupiały; trzej szaserowie zaś ani się nie zdziwili, ani się nie zlękli, lecz upletli nosze z gałęzi, złożyli trupa, i zanieśli go do Oranu.

Zwierzchność wojenna zawiadomiła natychmiast szejków plemion sąsiednich o popełnioném morderstwie, z rozkazem przystawienia niezwłocznie winowajcy, jeźli sami ukarani być nie chcą Nadto wyprawiono kilkunastu żołnierzy w góry, aby się tam w zasadzkach zaczaili, i sprawcę albo sprawców tego skrytobójstwa schwytali, gdyby się który z nich przypadkiem w jednéj z mnogich jaskiń w górach ukrywał. Ten potajemnie powzięty środek odniósł najpomyślniejszy skutek. Zaraz nazajutrz o świcie, na pochyłości góry, gdzie morderstwo dokonaném zostało, kilku żołnierzy francuzkich postrzegło dwóch arabskich pastérzy, żywą z sobą prowadzących rozmowę Ich niespodziane pojawienie się na widowni zabójstwa, ich dwuznaczna postawa i tajemnicza rozmowa, nie mogły nie wzbudzić podejrzenia. Przeco coraz cieśnié i cieśniéj miejsce, na którém pastérze stali okrążając, zbliżyli się żołnierze ku nim, i nagle z bronią w ręku na nich natarli; a pastérze, widząc że ujść nie mogą, a oprzéć się też niepodobna, dali się spokojnie schwytać i związać.

Francyja była wówczas zanadto jeszcze wojną zajęta, aby się cywilizowaniem Algeryi wiele zajmować mogła. Ztąd wykonanie ustaw nie działo się podług wszelkich formalności, a nagłe, doraźne sądownicto wyrokonywało nieraz pod dachem szynkowni lub w obozowym namiocie o życiu oskarzonego. Wyrok zaś bywał równie szybko wykonywanym, i nie pozostawało tedy żadnego nawet sposobu wynagrodzenia pomyłki, gdyby takowa przypadkiem zaszła.

Mimo nieobecności dowódzców i najwyższych urzędników, zwołano natychmiast radę wojenną, w któréj w braku rzeczywistego arabskiego dragomana, pewien podoficer z pułku spahów, o którym twierdzono, iż wybornie język krajowy rozumié, chcąc nie chcąc, za tłumacza

służyć musiał. Spodziéwano się, że obwinieni według osobliwszego zwyczaju tego ludu, który swoje najgwałtowniejsze uczucia i najsilniejsze namiętności powierzchownie przytłumić umié; spokojnie i poważnie zachowywać się będą; ku powszechnemu jednak zdziwieniu nie szczędzili oni słów ani ruchów; brunatne ich twarze marszczyły się przeraźliwie nerwowém drganiem, a duże czarne ich oczy błyskały oburzeniem i zgrozą.

Wezwany podoficer, szyderczą tylko ironiją uwzględniał namiętne tłumaczenie się Arabów, wykładał je radzie w kilku słowach, twierdząc, iż obaj obżałowani do zbrodni się przyznają. W skutek tego wydano na nich wyrok śmierci, a ponieważ w owczesném krytycznéin położeniu Francuzów, wiele na tém zależało, aby dla porażenia umysłów nieprzyjaciół, na wyobraźnię działać, a towarzyszące zabójstwu okoliczności, najściśléjszą usprawiedliwiały surowość; przeto zostali obaj arabscy pasterze na ścięcie mieczem skazani Wedłg zniesionego obecnie, lecz w piérwszych czasach zaboru Algeryi powszechnie przestrzeganego rozporządzenia, musiał jeden z kwatermistrzów pułkowych obowiązku kata dopełnić.

Stracenie odbyło się na równinie w pobliżu zwalisk staréj moszei, wznoszącéj się w południowéj stronie miasta, w kierunku słonych moczar Sebyba. Wszyscy mieszkańcy orańscy, Francuzi, Hiszpani, Maurowie, Żydzi, Murzyni, Turcy i Kuliglisy, cisnęli się tłumnie wkoło miejsca tracenia, którego przystęp oddziałami wojska wszelkiego gatunku broni był osadzony. Szerokie czerwone szarawary *zuawów* odbijały jaskrawo przy białych burnusach spahów i niebieskich mundurach szaserów afrykańskich. Nie można sobie nic bardziéj uderzającego i sprzecznego wystawić nad rozmaite wyrazy i dziwne stroje téj różnorodnéj ludności. Wiadomo jest z jak bezprzykładną obojętnością arabscy potępieńcy na śmierć idą. I tam religijne wyobrażenie codziennie jeszcze tworzy bohatérów. Piérwszy z winowajców szedł mocnym, wolnym krokiem ku śmiertelnemu pniu, odmówił zcicha krótką, gorącą modlitwę, i bez wahania, nie pobladłszy nawet, głowę na pień położył. Stal błysnęła, krew trysnęła w górę strumieniem — kat dopełnił doskonale swéj służby. Lecz druga część téj przerażającéj sceny miała się odbyć dramatyczniéj i okropniéj. Bądź iż krew, która kwatermistrza obluznęła, nieco go zmieszała i zatrwożyła, bądź iż jatagan, którego do powtórnego cięcia użył, nie był tak dobrym, jak zwykle broń tego rodzaju bywa; dość że powtórne cięcie nie oddzieliło głowy od tułowu, tylko ogromną sprawiło ranę. Arab zerwał się, stanął konwulsyjném wyprężeniem się na nogi, i z obróconém w słup okiem, z okropnie wykrzywioną twarzą i spienionémi ustami wołał: *»o Rumi, Rumi!«*. Dopiéro kilku żandarmów musiało pochwycić nieszczęśliwgo, przywlec go krwią zlanego nazad do pnia, i zmusić go, aby powtórnie głowę na nim położył. Lecz i powtórnym razem jatagan tylko powiększył ranę, nie zadawszy śmierci zupełnie. Przeraźliwy krzyk — który się wysłowić nie da, i śmiertelne chérczenie, wydarły się ściśniętym, posiniałym wargom Araba.

Zimny dreszcz przeniknął całe zgromadzenie, a nawet oswojeni z tego rodzaju widokami żołnierze, zahartowani na bole i wzruszenia, pobledli i zmieszali się.

Tylko pewien Berber, z pogranicza marokańskiego, jak dąb wysoki, bosy, surowych i dzikich rysów twarzy, przyodziany przestronną narzutką z krótkiémi rękawami, w czarnym zawoju na głowie; był oziębłym widzem tego tracenia, które we trzy lat później z temiż samémi prawie okolicznościami się powtórzyło. Sardoniczny wyraz igrał mu wokoło grubych, na wierzch wyrzuconych ust, a gdy się wszystko skończyło, wymknęły mu się prawie mimowolnie słowa, wyrzeczone w dyjalekcie góralskim, zwanym Kaybalia: »Psy! zamordowali dwóch niewinnych, i to jeszcze niezgrabnie.«

Przypadek zrządził, iż jeden z orańskich żydów, którzy są zawziętymi nieprzyjaciołmi Arabów, zrozumiał te słowa, i w nadziei zyskania kilka *duros* w na-

grodę; doniósł je zwierzchności francuzkiéj. Kazano w tejże chwili pojmać Berbera, i użyto do zbadania go — niestety za późno dla straconych pastérzy — przysięgłego tłumacza.

Berber dał się bez oporu, lubo nie bez protestowania uwięzić. Zarzucił kłamstwo Żydowi, utrzymując, iż tylko dla tego obwinił go przed sądem, aby kilka śrebrników ułowić, co też w istocie wielce prawdopodobném się zdało, ile że nie masz podlejszéj klasy ludzi nad Żydów algierskich. A gdy przytém przypisywane Arabowi słowa, gdyby nawet istotnie wymówione były, tylko bardzo ogólnych wniosków o jego winie dozwalały; więc miał już komendant miasta na wolność go wypuścić. Wtém popadł Żyd na myśl, aby góralowi suknie przetrząsnąć, a wtedy pod brunatną cerą Berbera dała się nagła bladość dostrzedz. Jakož po ścisłém przetrząśnięciu haiku i burnosu gorala znaleziono głęboko w jednę z grubych wełnianych sukień, wetkniętą śpilkę złotą z nagłówkiem koralowym, którą stary sługa Eugenijusza B. własnoscią swego nieszczęśliwego pana być uznał. Zrazu upewniał Berber, iż znalazł tę śpilkę w górach, lecz gdy go na ścisłe śledztwo wzięto, powikłał się w sprzeczności, a wreszcie zaniechał wcale obrony. Natomiast zaś przybrał swoją zwykłą dziką otwartość, swoją cyniczną nienawiść przeciw Francuzom, wyznał wszystko, i opowiedział z szyderczym śmiéchem, jak młodego myśliwca uprzejmémi ruchami i słowy ku sobie zwabił, a potém w sposobnéj chwili ztyłu kandżarem pomiędzy łopatki ugodził, i trupem o ziem obalił. Co uczyniwszy, ukląkł jeszcze Berber na Europejczyku, i z tygrysią srogością zabawiał się swawolném kaleczeniem wszystkich części jego ciała, aż wreszcie oszpeconego trupa, pod zarośla i krzewy kaktusowe zawlokł.

To niespodziane i prawie cudowne odkrycie nie przypuszczało najmniejszego powątpiewania o niewinności oskarzonych o to zabójstwo, i tak porywczo straconych Arabów. Teraz dopiéro można było wytłumaczyć sobie uporczywe zapieranie się i słuszne oburzenie tych nieszczęśliwych ludzi. Oraz i ów za tłumacza użyty podoficer przyznał się bez namysłu, iż ani słowa z odpowiedzi ich nie rozumiał. »Ale« — dodał w najlepszéj myśli — »nie wiele też na tém zależy; ot, koniec końców, jest teraz o dwóch Arabów mniéj na świecie.«

Przytaczamy te wyrazy dosłownie, i znamy nawet owego podoficera, który wtedy tak lekkomyślnie tłumaczenia się podjął; jest on teraz kwatermistrzem pułkowym, lecz nie chcemy wymieniać jego nazwiska, gdyż okropna ta obojętność, niepowinna być przypisaną pojedyńczym osobom, tkwi ona raczéj w zgubnéj zasadzie wojny, mającéj tę zaletę, iż zaprowadza okropne spółzawodnictwo krwawych odwetów w miejsce bohatérskich wspomnień wojsk naszych, i wiedzie wprost do przeistoczenia barbarzyństwa w pewien system rządowy, a zagłady w nieodbitą konieczność

Jakkolwiek nadzwyczajne trudy i cierpienia wojska nasze w Afryce ponosić muszą, z jakkolwiek bohatérskiém poświęceniem one tam walczą; jakkolwiek bezprzykładnego, prawie bajecznego dowiodły tam rycerstwa; nie należy przecież zamilczać rzeczywistych wypadków, które na szczęście tylko pojedyńczo się zdarzają, atoli niegodne są naszych dziejów, naszéj cywilizacyi, naszego obyczaju!

Wiadoma jest całemu światu nienasycona srogość, jakiéj Kabylowie w swéj partyzanckiéj wojnie na wojskach naszych się dopuszczają. W roku 1836 stracono w Algierze pewnego Berbera, którego schwytano, gdy właśnie zabitemu przez siebie w pobliżu gościńca między Dely-Ibrahim a Duera osadnikowi, wnętrzności wypruwał, i widokiem ich się pastwił. Czemu zaś wierzyć trudno jest, że przekonanych o zabójstwo, i przez francuzkich wodzów żołnierzom na pastwę wydanych Arabów, ciż żołnierze żywcem, z ściśniętémi w drewnianym śrubsztaku nosami, na pale przed swojémi namiotami wbijali. O jednym z byłych francuzkich spahów, którego nazwisko dziś z powszechną czcią wymawiają; opowia-

wiadano nam, iż nie będąc w stanie mieć udziału w tak ohydném wywarciu zemsty, owszem głuchémi jękami męczonego wzruszony, potajemnie w nocy z namiotu wyszedł, aby go szablą dobić, i tym czynem okropnéj litości, męczeńskiemu konaniu jego koniec położyć.

Istotny zabójca Eugenijusza B. został na tém samém miejscu stracony, gdzie obudwóch pasterzy niewinnie ze świata zgładzono. Głowa jego tkwiła przez trzy dni na palu przed ruinami dawnéj orańskiéj moszei, na widok publiczny wystawiona. Zwłoki nieszczęśliwéj jego ofiary przewieziono na prośby nieutulonéj w żalu matki, do Francyi, gdzie je na cmentarzu w Osten pogrzebano.

»Pora” w Londynie.

Wszędzie są cztéry pory roku; inaczéj ma się rzecz w Londynie, gdzie tylko jednę porę uznają, nazywając ją wyłącznie »Porą-*the-Season*,» dla oznaczenia przeto jéj ważności, jéj pierwszeństwa przed wszystkiémi innémi porami roku. Taż „pora„ jest jedyną częścią roku, którą osobnego miana godną być sądzą; wszystkie inne części są dla Londynu małéj wagi; w nich Londyn tylko wegetuje, podczas gdy w téj „porze„ żyje i rusza się, błyszczy i tańczy, stroi się w kwiaty i bławaty, opływa w dostatki festynów i bankietów, w wystawy wszelkiego rodzaju, zwidza jaśniejące nieprzebraném mnóstwem towarów sklepy; ulice londyńskie trzęsą się od turkotu przepysznych karoc, a kupcy, modniarki, rzemieślnicy i t. d. przesadzają się w ukłonach i przymileniach dla szczęśliwych, którzy z tych karoc wysiadają. W każdéj innéj porze jest Londyn tylko wielkiém miastem, lecz od początku maja aż do końca czerwca: od piérwszego zielonego agrestu do piérwszéj kuropatwy, jest on prawdziwą stolicą, centralném ogniskiem, do którego wszyscy majętni posiadacze dóbr się zjeżdżają, gdzie świetność i zabawa w wszelkich postaciach ochotników swych oczekują. Wszakże nie tylkoto zabawy są jedynym celem „pory,” jest ona także czasem do interesów. Projekcista, który w oznaczonym tu przeciągu planu swego nie uskuteczni; musi aż do przyszłego roku czekać. W »porze” nic innego nie robią, tylko kupują i przedają; cała gwałtownie wezbrana fala życia bije ku wschodowi, a wszelka niezmordowana, energiczna bez odpoczynku pracowitość, ogranicza się teraz jedynie na „*city*,” na bank, giełdę, i ową tajemniczą klasę ludzi, coto od roku do roku bez wytchnięcia mozolą się i znoją, aby skupiać masę dostatków i bogactw, których ostatecznem przeznaczeniem jest— podniesienie blasku »pór” przyszłych. Każde rzemiosło, każda sztuka, każde przedsiębiorstwo jest teraz w najżywszym ruchu. „Teraz lub nigdy!” myślą za nadejściem „pory” wszyscy, którzy bądźto do trafnego smaku pewnéj małéj liczby wybranych, bądź do ślepego wyroku całéj ogółem publiczności się odnoszą. Niejeden artysta pracuje nieraz lat kilka, w zaufaniu jeźli już ma imię sławne, w nadziei jeźli go jeszcze nie ma, że krótka „pora” wynagrodzi złotem lub sławą jego usiłowania, jego trudy. „Pora” ta odbiéra wszystkim krajom europejskim ich przyjemności, ich najulubieńszych śpiewaków, ich najzawołańszych wirtuozów; o téj »porze” przestają Włochy brzmiéć muzyką i pieśniami, głuchną, lub muszą się zadawalniać talentami trzeciego i czwartego rzędu, któremi bogaty, wybrédny Londyn gardzi.

Nawet w ocenieniu sztuk pięknych nie może Anglija swego handlowego ducha się zaprzéć; jeźli sama tych sztuk pięknych produkować nie zdoła, tedy zza granicy je sprowadza: Niemcy dostawiają jéj swego Sztaudigla, Włochy swoją Grisi, Francyja Lablache'a, Szwecyja Jenny Lind. Wszystkie te urocze zjawiska zlatują do Londynu jak duchy na zawołanie Prospera Szekspirowskiego. I jakiéjżeto potędze są one tak posłusznémi? — Oto p o t ę d z e z ł o t a, które w czasie londyńskiéj »pory” po wszystkie strony strumieniem się rozléwa. Wszędzie ta potęga napusza się i rozwielmożnia, w świecących błyskotkami sklepach, w przepełnionych ulicach, gdzie ekwipaż ekwipażowi drogę zajeżdża, w parkach, w klubach, w operze, która sama jedna na swoje utrzymanie dochody całego państwa małego pożéra, w teatrach, przy tak zwanych ***cheeswick***'skich uroczystościach, i wszystkich owych ***dejeuners***, ***réunions***, ***soirées***, ***thés dansantes***, we wszelkich zgromadzeniach i towarzystwach o fraucuzkich nazwach, na balach u ***Almacks***, na partyjach ministeryjalnych, nawet przy corocznych obiadach na korzyść ubogich, które co do zbytków i wystawności żadnemu książęcemu bankietowi nie ustępują. Nawet zgromadzenia w celach religijnych, które w miesiącu maju prawie codziennie w Exeterhall się odbywają, nie różnią się w téj mierze, lecz dowodzą owszem niemałéj zamożności klas średnich, bo zkądżeby inaczéj wzięły się te krocie funtów, jakie przy podobnych okolicznościach zwykle uzbiérane bywają? Czy obecny zły stan finansów, i grożące zewsząd trudności i kłopoty pieniężne, tegoroczny dochód tych zgromadzeń uszczuplą, niebawem się dowiémy; należy się jednak istotnie lękać, że zbyt wielka masa nagłych wypłat żelaznokolejowych, tudzież dotkliwy niedostatek gotówki, niejednemu spekulantowi równie hojnym jak niegdyś, być nie dozwolą. Ztémwszystkiém, umniejszone poniekąd subskrypcyje nie wpadają w oczy; na pozór nie objawia tegoroczna »pora” bynajmniéj leniwszego niż zwykle ruchu, ospałości, mniéj bla-

sku. Ekwipaże toczą się szybko i dumnie po ulicach jak zawsze, pióra powiewają na salonach, dyjamenty błyszczą na balach tym samym blaskiem jak dawniej, i jakby żadnych narad ministeryjalnych o klęskach obecnego czasu, i żadnych artykułów o niesłychanéj nędzy i głodzie po dziennikach nie było. Ulica »*Regent-street*” trudna jest do przebycia, tyle wytwornych powozów ciągle tam stoi, a żaden z tych powozów z ich przepyszną uprzężą nie kosztuje właściciela rocznie mniéj jak tysiąc funt. szterl. Nigdy jeszcze słońce majowe nie oświécało tak pięknéj, wystawnéj »pory”; wszelki blask, wszelkie bogactwa zdają się być podwojone, jakby dla przedstawienia tém bardziéj rażącego przeciwieństwa w porównaniu z nędzą, o któréj możny świat londyński wprawdzie słyszy, lecz któréj nigdy nie widział. Parowie rozprawiają nad irlandzką ustawą o ubogich, i mówią o domach pracy, febrze, głodzie, śmierci wielu tysięcy z głodu, w sali, gdzie przepych królewski w oczy bije, gdzie wszystko od złota i purpury się świéci, gdzie wszystko miękkością i zbytkiem dyszé, gdzie światło gazowe w bogato ozdobnych lampach dzienny blask wkoło rozléwa, a noga gładko po miękkich kobiercach sunie, tak że margrabia Lansdown za niestosowną rzecz poczytał, w takiém miejscu podobnego przedmiotu dotykać. Zamiast jednéj wystawy obrazów jest ich teraz pięć czy sześć; zamiast jednéj opery, ma Londyn teraz dwie, a obie równie wyborne, i tłumnie odwidzane. Wszędzie dostatek i rozrzutność! Stolica, czyli raczéj sama »*city*” wydaje się w téj chwili w swojém upojeniu radości tak swobodną, jak gdyby bank londyński uginał się pod złotem, a każda kałuża w Irlandyi pełną była zboża i kartofli. Sprzeczność pomiędzy ostatecznościami naszego ziemskiego życia jest oklepanym przedmiotem dla moralisty. Patrząc tylko po wierzchu, można się łatwo mylić, lecz w głębi téj wszelkiéj wielkości, téj rozkoszy, tych zbytków, jakim stolica się oddaje, nie trudno bacznemu oku dostrzedz jawnéj świadomości tego wszystkiego, o co dziś dbać i troskać się należy, i dostrzedz tak silnego postanowienia oparcia się wszelkim przywarom i grzechom naszego czasu, iż zda się, jakby ta cała majowa krotofila chodziła w pokutniczym worku i popiele na głowie, a o zabawach nigdzie ani mowy nie było.

Ludwik Lucyjan Bonaparte filologiem.

Z listu profesora Negrelli z Toskany.

„*Quoi! du grec?* Co, po grecku?!” — Témi albo podobnémi słowy miał niegdyś wielki cesarz wynurzyć swe zadziwienie, gdy pewien sławny Włoch całkiem greckie wydanie Iliady, najpyszniejsze ze wszystkich, jakie znane są filologom, w hołdzie mu ofiarował. Nie wiém coby teraz powiedział na to, gdyby jego powszechnie lubiony i godny tego synowiec Ludwik Lucyjan, o którym często w dziennikach mowa bywa, egzemplarz swego właśnie drukującego się dzieła „*Vocabularium comparativum omnium linguarum Europaearum.* — Słownik porównawczy wszystkich języków europejskich” mógł mu przedłożyć. Znalazłby tam bowiem nie tylko po grecku, lecz i po angielsku i po rosyjsku, dwa języki których trudności cesarz nigdy zupełnie pokonać nie umiał. Bądź co bądź, ja z mojéj strony sądzę, że ręka która lepiéj piórem niż mieczem włada, nie jest bynajmniéj słabą ręką. Owszem, trzeba otwarcie wyznać, iż taka ręka nadzwyczajnie jest silna i mocna. Dowodem tego: zdozdobycze, jakie pod najpiękniejszém niebem bożém niektóre pióra wywalczyć umią. Czy L. L Bonapartego pioro będzie mogło podobnym poszczycić się skutkiem? Na to pytanie późniéj odpowiém. Teraz donoszę ci tylko, kochany przyjacielu, że pomienione dzieło składać się będzie z dwóch tomów w małém *folio*, każdy po 500 stronic, nie licząc w to przedmowy która do piérwszego, i dodatków, które przy drugim tomie załączone będą. Właściwy wokabularz zawiéra 1000 słów, i dzieli się w dwie części: 1) rzeczowników, których jest 500, zapełniających cały tom piérwszy, i 2) przymiotników (150), słów czasowych (250) przysłówków, przyimków i spojników (100), które razem (500) tom drugi stanowią Autor uszykował słowa w ideologicznym porządku, jako to: Bóg, Duch, Anioł, Djabeł, Dusza, Raj, Piekło, Czas, Rok, Wiosna, Lato, Jesień, Zima, Tydzień, Dzień, Ranek, Wieczór, Godzina, Świat; Światło, i t. d., co filozoficznéj bystrości dowodzi. Dla ułatwienia wszystkim ukształconym narodom przeglądu i poszukiwania pojedyńczych wyrazów, dodany jest siedmioraki alfabetyczny spis rzeczy w siedmiu językach, jakoto: łacińskim, francuzkim, angielskim, niemieckim, włoskim, hiszpańskim i portugalskim. Po tych najstaranniéj ułożonych spisach, zajmujących część piérwszego zeszytu, następuje kilka porównawczych tablic nazw dni, tygodni i miesięcy; tudzież liczbowych i zaimkowych przymiotników.

Z trudnością przyjdzie krytyce, a nawet niepodobieństwem dla niéj będzie, z piérwszego świéżo wyszłego zeszytu wydać słuszne zdanie o całém dziele. Uczeni, pragnący już teraz dokładniejsze o całości powziąć wyobrażenie, niech raczą zwrócić uwagę na poniższe wzmianki, które uprzejmości samegoż autora zawdzięczam.

W przedmowie, w dwóch językach, po łacinie i po francuzku napisanéj, daje autor dostateczną wiadomość o zamiarze swéj pracy, tudzież o powodach,

które skłoniły go niektóre narzecza jako oddzielne mowy uważać, a niektóre narzecza przechodnie, które tylko modyfikacyjami głównego języka być mniema, zupełnie z obrębu języków wykluczyć. Wreszcie tłumaczy się też z kilku znaków dowolnych, które w zastosowaniu abecadła rosyjskiego do łacińskiego mu posłużyły. Nie chcąc jednak autora w szczegółowym wykładzie tych uwag wyprzedzać, poprzestaję na krótkiem doniesieniu treści pierwszego zeszytu.

Trzy główne jego oddziały A, B, C, obejmują trzy wielkie plemiona językowe, na jakie według zdania autora, wszystkie mowy europejskie — a liczy ich 52 — podzielone być mają. Rzymskie liczby znaczą podrzędne działy czyli rodziny tych języków; małe głoski *a*, *b*, służą do oznaczenia grup, na jakie też rodziny się dzielą; lecz ten podrobniejszy podział uznał autor tylko przy VItéj rodzinie plemienia C, to jest przy germańsko-skandynawskiéj potrzebnym. Są zaś témi plemionami i rodzinami językowémi następne:

A. Plemię języków iberyjskich, składające się z jedynéj rodziny, iberyjskiéj, żyjącéj tylko jeszcze w jedynym języku baskickim.

B. Plemię języków uralskich, składające się z 8 rodzin, jakoto: I) fińskiéj, II) lapońskiéj, III) permskiéj, IV) czermiskiéj, V) mordnańskiéj, VI) węgierskiéj, VII) wogulskiéj, VIII) ostyjackiéj. Języków 12.

C. Plemię indoeuropejskich języków, mające 8 rodzin: I) gaelicką, II) kambryjską, III) albańską, IV) grecką, V) łacińską, VI) germańsko-skandynawską, z dwoma pomniejszémi grupami *a*, *b*, VII) słowiańską, VIII) łotycką. Języków 39.

Jakże więc owe zapytanie o publicznem wrażeniu dzieła L. L. Bonapartego rozwiązać? — Nie; pióro jego nie poszczyci się zapewne tym jaskrawym skutkiem, jaki dziś wszystkie utwory *mody* literackiéj odnoszą. Wie on sam o tém najlepiéj, on, co jest najskromniejszym ze wszystkich włoskich literatów; i my też wszyscy o tém wiemy. Ależ biada społczesnemu pokoleniu, jeżeli przynajmniéj z jego niezmordowanéj pracowitości przykładu wziąć nie zechce!

Całe dzieło, wraz z przedmową i dodatkiem wyjdzie w 24 zeszytach. Wszakże cały nakład będzie tylko w 250 egzemplarzach wytłoczonym, a każdy egzemplarz dostanie osobny numer.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład Piotra Pillera) wyszedł nr. 29ty i zawiera: 1) O rolnictwie płodozmiennem. 2) Wiadomości o rolnictwie zachodniéj Flandryi (z dziennika Wilhelma Rithmayer z roku 1847) 1. Rola, 2. podział gruntów i stan folwarków, 3. następstwo płodu jednych po drugich, 4. uprawa roli, 5. zbiory i wydatki, 6. bydło. 3) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 4) Uwiadomienie potoczne.

Dawna szlachta Wenecyi. Nié masz pewnie żadnego narodu w Europie, któryby pośród siebie tak dawne mieścił rodziny szlacheckie, jako Wenecyja. Niektóre z tych rodzin, żyjące jeszcze po dziś dzień, mogą śmiało bez odnoszenia się do genealogicznych mrzonek, naliczyć dwanaście do trzynastu setek swojego istnienia. Rodziny, których imiona wpisane były w złotéj księdze (byłato niejako uświęcona księga herbowa, do któréj przyjmowano tylko rodziny rzeczypospolitéj co najczystsze i najszlachetniejsze) dzieliły się na trzy klasy. Należące do piérwszéj klasy, dwunastu apostołami zwanéj, która się składała z najstarszych pokoleń weneckich, pochodzą w prostéj linii od tych dwunastu trybunów, którzy w roku 697 piérwszego dożę, Paoluccio Anafesto z Heraklei, wybrali. Członków tych domów przed wszystkimi wynoszono do najpierwszych godności. W równi z témi stały rodziny zwane czterma ewanielistami, bo nieco tylko wiekiem różniły się od nich. Oprócz tego wchodziło do téj klasy jeszcze kilka starych rodzin, pochodzących po największéj części od innych patryjarchów, którzy przed zaprowadzeniem godności doży rządzili na wyspach Wenecyi. — Druga klasa weneckiéj szlachty składała się z tych rodzin, które w roku 1290, przy zaprowadzeniu możnowładztwa przez dożę Piotra Gradenigo, do złotéj księgi wpisano, i z których jedynie, podług rozporządzeń rzeczonego doży, na przyszłość członków wielkiéj rady wybierać miano. — Trzecią zaś klasę stanowili ci zamożni mieszczanie, którzy za sto lub tysiąc srebrnych dukatów weneckich szlachectwo sobie kupili; co w czasach nagłych potrzeb rzeczypospolitéj kilka razy się wydarzyło. Szlachta jednak téj klasy mogła się dostać tylko do urzędów najnieznaczniejszych, a rzadko kiedy do ważnych spraw ją używano. Tytuł weneckiego szlachcica ze złotéj księgi, nadawano nawet zagranicznym książętom, jeźli tylko zapragnęli tego wielkiego zaszczytu. Henryk IV król Francyi w roku 1600 starał się o wpisanie swego imienia do złotéj księgi. Signoria Wenecyi, widząc szczególniejszy w tém zaszczyt, mogący na wieczne czasy szlachetnéj jéj rzeczypospolitéj sławne zjednać imię, zapowiedziała natychmiast nadzwyczajne zgromadzenie wielkiéj rady, gdzie jednozgodnie zagłosowano, że Henryk z Bourbonów, czwarty tego imienia król Francyi, mianowanym został szlachcicem weneckim z prawem dziedzicznem, które to mianowanie przez posłów uroczyście mu doręczono. Z tego wszystkiego można poznać, jak wielkie znaczenie rzeczpospolita miała w Europie, kiedy tak możny król Francyi i inni książęta niemieccy za zaszczyt sobie poczytywali, być szlachtą wenecką!.... Szlachta ze złotéj księgi, która miała tytuł »Eccellenza,« musiała się jednakowo ubierać. W mieście, Wenecyi, nosiła ona długie czarne togi i czarne czapki, dokoła rodzajem frędzli obszyte (ubranie starodawne i poważne!) a pod togami suknie z kosztownych materyj. Przytém nie wolno jéj było służby ubierać w liberyją i wodzić za sobą, ani zbytkowych uczt sprawiać, ani z srebrnego jadać naczynia. Nawet gondoły jéj, jak to jeszcze podziśdzień widzieć można, musiały być wybite czarnym suknem lub pomalowane tylko na czarno, dla uniknienia zbytku, i aby najmniejszego niepozostawić znaku nierówności stanu. Piękniejsze i przepyszniejsze gondoły, czyli tak zwane peoty, przeznaczone były jedynie tylko dla posłów podczas wjazdu publicznego. — Szlachta nakoniec stałego lądu (*gentiluomini di terra ferma*) stanowiła ostatnią klasę szlachty weneckiéj. Tego rodzaju szlachta miała swe stałe mieszkania na prowincyjach rzeczypospolitéj, lecz do posług krajowi nie mogła sobie rościć najmniejszego prawa. Po uskutecznionych jednakże przed kilkoma laty poszukiwaniach c. k. komisyi heraldycznéj, pokazało się z dyplomów weneckiego szlachectwa, że w znacznéj części szlachta stałego lądu tytuły hrabiów, baronów i

kawalerów, nosiła jedynie tylko prawem podania od pokolenia do pokolenia.

Manna pojawiła się znowuż w niektórych okolicach niemieckich, mianowicie w Czechach, na Szlązku i koło Iszl. Spada ona zwykle z deszczem, po którym dają się postrzegać na ziemi dość gęsto małe ziarnka, podobne do białego pieprzu lub nasienia kartoflanego, krągłe lub nieco podługowate, słodkawego, lecz cokolwiek cierpkiego smaku. Nie dziw, że to rzadkie zjawisko przyrody najdziwniejsze obudziło domysły, a nawet przy obecnéj drożyznie i nędzy na myśl nawiodło, że samo niebo ludzkiéj niedoli się ulitowało, i przyobiecaną mannę na ziemię zesłało. Uczeni botanicy, którym te ziarnka do rozpoznania przedłożono, dali następujące zdanie: Ta, równie jak i wszelka według gminnego mniemania z nieba spadająca manna składa się z głąbków jaskieru trędowego (*ranunculus ficaria* L.), który rzadko kiedy zupełnie wykształcone wydaje z siebie nasienie, lecz natomiast żółtawe w przegubach listków miewa głąbki, wielkości żółtego grochu, czasem też większe, okrągłego lub powzdłużnego kształtu. W czerwcu, kiedy jaskier odkwita, odpadają te głąbki, które przy wielkiém rozpowszechnieniu jaskieru, czasami w nadzwyczajnéj ilości się pojawiają, i ztąd wielokrotnie już powód do podań gminnych dawały. Posadzone w ziemię, klują się te głąbki i wydają wyżwspomnioną roślinę; jeżli się jéj zaś boczne kolanka i głąbki odejmie; tedy rodzi ona w odpowiednim czasie zupełnie wykształcone owocki. — Podobnież i przeszłoroczna, w niektórych okolicach Małéj Azyi spadła manna okazała się być głąbkami jaskieru trędowego.

Pan de Lamartine pisze obecnie »Historyję izb ustawodawczych — *Histoire des Constituantes*« od otworzenia się zgromadzenia narodowego aż do śmierci Mirabeau'a, w 6 tomach. Poczém ma nastąpić »Historyja Dyrektoryjatu« aż do 18 Brumaire. Za piérwszych 6 tomów otrzymuje autor 500.000 fr. honorarium. — Nadto połączył się p. Lamartine z Aleksandrem Dumasem w celu wydawania wielkiego politycznego pisma po tak nizkiéj cenie, iżby takowe mogło być przystępne ludowi, i w najbardziéj potąd zaniedbanych warstwach społeczeństwa rozszérzało polityczną i społeczną oświatę, tę podwójną, niezbędnie potrzebną dźwignię umysłowego wykształcenia narodu. Dziennik ten ma wychodzić codziennie w formacie dziennika »*des Débats*,« przy spółpracownictwie najsłynniejszych pisarzy, po cenie 24 franków rocznie, pod nazwą »*Le bon marché. Journal des honnêtes gens* — Dziennik uczciwych ludzi.« Lamartine będzie redagował część filozoficzną i socyjalną, Leon Malleville polityczną, a Dumas felieton.

Kret zwiastunem skarbów. Niedawno znaleziono osobliwszym sposobem pieniądze w okolicach nadreńskich. Mały pastuszek siedział sobie na polu, i przypatrywał się zdaleka kretowi, ryjącemu ziemię. Po niejakim czasie błysnęło coś białego w usypanéj przez kreta kupce, a chłopczyna zbliżywszy się postrzegł talara. Wnet pokazał się drugi i trzeci talar, słowem srebro zaczęło się mnożyć, jak bukiety w kapeluszu Döblera. Rozumié się, że pastuszek ułatwił pracę kretowi, i rozkopawszy ziemię dość głęboko, został sowicie za trud swój wynagrodzonym, gdyż znalazł 800 talarów w gotowiźnie. Zapewne je tam jakiś sknéra zagrzebał.

Ścisłe definicyje. Filozofowie wszystkich czasów i krajów zadawali sobie wielką pracę w wynalezieniu orzeczenia, któreby na oko różnicę między człowiekiem a zwierzęciem wykazało. Dwie najsławniejsze definicyje tego rodzaju są następne; piérwsza jest wynalazku Burkego: »Człowiek jestto zwiérze, które samo żywność sobie gotuje;« drugą wymyślił dr. Adam Smith: »Człowiek jestto zwiérzę trudniące się handlem, czego żadne inne stworzenie nie czyni.« — Równéj prawie wartości definicyję dał pewien wiejski prostaczek: »Człowiek jestto zwiérzę, które w pewnym wieku, kiedy palenie fajki, granie w karty, hulanka, pojedynki, konie, psy, najulubieńszą zabawę jego stanowią, zpomiędy wszystkich znanych czworonożników najnierozsądniejszém bywa.

Jenny Lind, bawiąca obecnie w Londynie, uda się ztamtąd do Liwerpoolu i Manchestru. Zaproszono ją nawet do Dublina, ofiarując jéj małą kwotę: 40.000 zł. za dwa wystąpienia gościnne, czego jednak panna Lind nie przyjęła. Uczyniłaż ona to w uczuciu zbyt rażącéj sprzeczności, jaka zachodzi między hojnością stolicy, która dla chwilowéj przyjemności, tyle poświęcić jest w stanie, a nędzą kraju, w którym tysiące ludu mrą z głodu?

Fałszywe rubiny. Niejaki pan Gaudin w Paryżu wyrabia chemicznym sposobem tak twarde, błyszczące i ze wszech miar doskonałe rubiny, iż pewien doświadczony jubiler, któremu takie chemiczne rubiny do rznięcia i ogładzenia przyniesiono, za najlepsze oryjentalne kamienie je uznał. Wynalazek ten wzbudził oczywiście obawę licznych oszustw, a rubiny zostały prawie zupełnie z toalety dam wykluczone.

Aleksander Dumas pochodzi ze krwi afrykańskiéj. Ztąd pewien ciekawniś, coto w jednéj minucie więcéj pytań zadać potrafi, niż dziesięciu mędrców w godzinie odpowiedzieć na nie zdołają; ozwał się raz do autora »Hrabiego Monte-Christo«: »Pan jesteś *kwatronem*, panie Dumas, nieprawdaż?« — »Tak jest« — odrzekł spokojnie poeta, mający zanadto wiele zdrowego rozumu, aby się miał wstydzić swojego pochodzenia, którego zresztą powierzchownością swoją żadnym sposobem zaprzeć nie może. — »A ojciec pański był —?» zapytał daléj natręt. — »Był mulatem.» — »A dziad pański?» — »Murzynem« — odpowiedział Dumas z niecierpliwością. — »A wolnoż mi jeszcze spytać, czém też był pański pradziad?« — »Małpą!« — ofuknął Dumas ciekawnisia, mierząc go pełném wzgardy spojrzeniem — »tak, tak, małpą: mój rodowód zaczyna się tam, gdzie twój się kończy, mój panie.«

Środek przeciw miłości. Wynaleziono niezawodny środek przeciw miłości, który odtąd jak ospy, i wielu innych chorób ustrzedz się będzie można. Wyszło bowiem pisemko w Lipsku pod nazwą: »Miłość da się uleczyć.« Autor nazywa się Teodor Inocenty, i zdaje się być istotnie niewiniątkiem, gdy jeszcze nie uznał, iż wcale zbytecznym jest trudem, pisać naprzeciw rzeczy, która od dawna do bajek staroświeckich należy. Samolubstwo i najbrudniejsza chciwość dokonały już dawno radykalnéj kuracyi z miłością. Miejsce dawnéj miłości, któréj hasłem była bezinteresowność, zajęła dziś arytmetyka. Liczby teraz wszystko stanowią, a rzeczywiste skarby: w zapisach na dobrach, w obligacyjach, w akcyjach, są dziś daleko więcéj poszukiwane, niż skarby imainacyjne, nazywające się: serce, poświęcenie, które niegdyś tak wysoce cenione były.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.